

Stan wojenny w Małopolsce
Relacje i dokumenty

Publikacja dofinansowana przez
Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
& Henryk Głębocki, Jolanta Nowak, Zbigniew Solak, Jarosław Szarek
& Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego
& Adam Roliński

Redakcja i skład: Marian Hanik
Projekt okładki: Lech Dziewulski

Na okładce wykorzystano fotografie Stanisława Markowskiego

ISBN 83-7188-783-3



31-008 Kraków, ul. Św. Anny 6
www.akademicka.pl

Stanisław Tatara

Stanisław Tatara (28 X 1945), technik mechanik, pracownik Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego w HiL (1967-1974), pracownik Krakowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego – Fabryka Domów (1974-1982), przewodniczący KZ NSZZ „S” w Fadamie (1980-1981), członek KPN (od 1980), członek założyciel KOWzP, w stanie wojennym internowany w Wiśniczu i Załężu, działacz struktur podziemnych KPN, ukrywał się od X 1982 do 1989.

Pierwsze moje kontakty z opozycją miały miejsce w 1980 roku, jeszcze przed powstaniem „Solidarności”. Polityką interesowałem się od zawsze, w młodości jako nastolatek miałem nawet lewicowe poglądy, co wywoływało konflikty ze wszystkimi kolegami. Po licznych dyskusjach zmieniłem je. W marcu 1968 roku kontaktowałem się ze studentami UJ, przenośliem otrzymywane od nich ulotki na teren Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego, gdzie pracowałem. Pod koniec lat 70., gdy gospodarka zaczęła się sypać, w dyskusjach w zakładzie pracy mówiłem, że Polska musi odzyskać niepodległość, że nastąpi to stopniowo z powodu coraz trudniejszej sytuacji politycznej i gospodarczej Związku Sowieckiego na arenie międzynarodowej. Przełomem będzie utworzenie partii politycznej, która jawnie wystąpi z żądaniem odzyskania niepodległości przez Polskę. Działy już wtedy różne organizacje opozycyjne jak tajne Polskie Porozumienie Niepodległościowe i jawny Komitet Obrony Robotników. Twierdziłem, że komuniści będą stopniowo przywracać różne symbole narodowe, np. wprowadzą rogi w wojsku, a nawet dodadzą orłu koronę. Polska odzyska jednak niepodległość dopiero wtedy, gdy zostanie przywrócone całe ustawodawstwo II Rzeczypospolitej, przede wszystkim konstytucja kwietniowa i ordynacja wyborcza do sejmu i senatu RP.

W wydawnictwie „Krzyż Nowohucki” wyczytałem adres Franciszka Grabczyka, który był współpracownikiem KSS KOR. Pojechałem do jego mieszkania na os. Tysiąclecia w Nowej Hucie. Wydał mi się spięty i nieufny, gdy zaofiarowałem mu współpracę. W rękę trzymał cały czas różaniec. Zlecił mi zbieranie podpisów pod petycją do Rady Państwa w sprawie transmisji mszy świętych w radio i w telewizji. Według jego wskazówek napisałem tekst tej petycji i przystąpiłem do zbierania podpisów wśród znajomych i kolegów z pracy. Pracowałem wtedy na stanowisku starszego mistrza w Fabryce Domów Krakowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Udało mi się zebrać ok. 140 podpisów. Wkrótce zjawili się w zakładzie dwóch esbeków, którzy rozmawiali z dyrektorem, przewodniczącym związków zawodowych i moim przełożonym, kierownikiem warsztatu mechanicznego. Mnie nie próbowano przesłuchiwać.

Kierownik warsztatu mechanicznego Marian Kostrzewa – członek PZPR, też podpisał petycję, jak prawie wszyscy pracownicy, którym to zaproponowałem – opowiedział mi o rozmowach esbeków z kierownictwem zakładu. Zarzucono mi, że wykorzystuję czas pracy do prowadzenia nielegalnej działalności. Odparłem, że podpisy zbieram przed i po zakończeniu pracy oraz w przerwie. Kierownik przekazał mi wezwanie sekretarza PZPR, Kowalskiego do stawienia się w komitecie partii. Inżynierowi Kostrzewie odpowiedziałem, że nie należę do PZPR-u, nie uznaję jej władzy nad sobą, sekretarz partii nie jest moim przełożonym i moja noga w komitecie PZPR nie postanie, a sekretarza zapraszam do siebie do biura na herbatę, jeżeli ma mi coś do powiedzenia. Kierownik warsztatu przejęty, że zwolnią mnie z pracy, wzbraniał się przekazać sekretarzowi moją wypowiedź. Namawiał mnie, abym jednak poszedł do komitetu. Zdecydowanie odmówiłem, powiedziałem, że pracy jest dość, a ja mogę zamiatać ulice. Pomimo oporu kierownika prosiłem go, aby moją odpowiedź przekazał dokładnie sekretarzowi. Za chwilę oburzony sekretarz PZPR zatelefonował do mnie, wzywając mnie do siebie i tłumacząc, że ma prawo wezwać każdego pracownika, nawet dyrektora przedsiębiorstwa. Ponownie odmówiłem powtarzając dokładnie to, co powiedziałem wcześniej kierownikowi i dodałem, że może wzywać tylko członków PZPR, a dyrektora tylko dlatego, że jest członkiem partii. Sekretarz rzucił słuchawką, nie przyszedł do mnie i więcej ze mną nie rozmawiał. Poinformowałem o wszystkim Franciszka Grabczyka i chciałem nadal zbierać podpisy, lecz on polecił mi przerwać oświadczając, że tyle podpisów wystarczy. Nie pamiętam już czy mnie wtedy czymś ukarano. Nie wiem jaką rolę w tej sprawie odegrał związek zawodowy, gdyż nie należałem do niego od 1976 roku. Po zajęciach czerwcowych w Radomiu i Ursusie postanowiliśmy z kolegami, że wystąpimy ze związków zawodowych. Pierwszy wystąpił kolega Ezechiel Makowski, a w jakiś czas później ja.

W czasie strajków na Wybrzeżu w sierpniu 1980 roku przewidywałem, że sytuacja w kraju będzie się zaogniać i nie dojdzie do szybkiego porozumienia z władzą. Chciałem być w zakładzie w najgorętszym czasie, gdy według mnie we wrześniu strajki zaczną się rozszerzać na cały kraj. Wziąłem planowany wcześniej urlop wypoczynkowy. Postanowiłem przy okazji pojechać do Gdańska i nawiązać kontakt ze strajkującymi. Opóźniałem wyjazd, ponieważ w Fadomie, gdzie pracowałem, ludzie zaczęli się burzyć i chcieli strajkować. Domagali się głównie podwyżek płac, najbardziej aktywni byli pracownicy utrzymania ruchu. Mimo, iż byłem na urlopie, utrzymywałem kontakt z załogą. Tłumaczyłem, że strajk powinien mieć przede wszystkim charakter solidarnościowy ze strajkującymi zakładami Wybrzeża, ale ten argument nie do wszystkich od razu trafiał. Załodze przede wszystkim chodziło o sprawy płacowo-socjalne. Pomogłem spisać listę postulatów, w której poparliśmy 21 postulatów stoczniowców Wybrzeża i wyraziliśmy solidarność z nimi. Pracownicy poprosili mnie, abym 2 września poprowadził zebranie w tej sprawie z udziałem dyrektora Orłowskiego, którego ludzie się obawiali, gdyż dość despotycznie kierował zakładem. 2 września w poniedziałek po przyjeździe do zakładu dowiedzieliśmy się z prasy o podpisaniu porozumień sierpniowych. Na zebraniu,

które zgromadziło niemal całą załogę, usiadłem za stołem prezydyjnym obok dyrektora, sekretarza POP i szefa rady zakładowej. Dyrektor od razu zabrał głos z dużą pewnością siebie zmierzając do przejęcia kontroli nad przebiegiem wydarzeń, równocześnie próbując ludzi straszyć. Zdenerwowałem się i zrywając się z miejsca natychmiast ostro mu przerwałem oświadczając, iż zebranie prowadzi ja i nie udzieliłem mu głosu, a zaprosiliśmy go tu nie po to, aby prawił nam kazania, ale wysłuchał, co my mamy do powiedzenia. Odebrałem mu głos, a on zmieszany usiadł. Poprawiło to znacznie nastrój na sali, a towarzysze za stołem całkowicie spokornieli. Przedstawiłem postulaty, które zostały odrzucone, w związku z czym załoga ogłosiła strajk, który odbył się chyba 5 września. W strajku nie brałem udziału z powodu wcześniej umówionego wyjazdu. Niektórzy mieli do mnie o to pretensje. Zrobiłem to też z tego powodu, gdyż proponowałem, aby najpierw założyć niezależny związek zawodowy i dopiero pod jego kierownictwem przeprowadzić strajk. Dyrektor jednak się na to nie zgodził, gdyż nie było to uzgodnionym wcześniej celem zebrania i ludzie na to przystali. Strajk spowodował, że byliśmy wtedy chyba jednym z niewielu zakładów z branży budowlanej, który wywalczył sobie dość znaczące podwyżki stawek godzinowych.

Uzgodniliśmy także zwołanie 9 września 1980 roku zebrania w celu powołania komitetu założycielskiego NSZZ, którego zostałem przewodniczącym. Nazwy „Solidarność” jeszcze nie używano¹. Na zebraniu do nowych związków wpisała się prawie cała załoga Fadomu. Przeprowadzono wybory, zostałem przewodniczącym komisji zakładowej, a wiceprzewodniczącym wybrano Tadeusza Szota, elektryka utrzymania ruchu, który bardzo aktywnie mnie wspomagał i ponaglał do działania. Zajął się radiofonizacją zebrań, a potem całą robotą papierkową, dzięki czemu organizacja NSZZ w KPБ przebiegała w miarę sprawnie. Niestety w 1981 roku wyjechał na Zachód, bodajże do Francji. Po nim zastępcą został Władysław Zgoda. Początkowo związek działał tylko na terenie Fadomu w Biezanowie. Po kilku tygodniach objął wszystkie nasze oddziały (czyli Kierownictwa Grupy Robót) w KPБ. Nastąpiło to wskutek interwencji pracowników, domagających się rozszerzenia działalności związku na całe przedsiębiorstwo. Aktywne działania podejmowali, jak pamiętam, Ryszard Sendzimir, Bogdan Zawadzki i inni. Po przeprowadzaniu przez nas zebrań założycielskich we wszystkich KGR-ach, na podstawie napisanej przeze mnie ordynacji wybrano delegatów załogi i Komisję Zakładową już NSZZ „Solidarność”. Wkrótce przystąpiło do nas około 80 procent pracowników z przeszło dwutysięcznej załogi. W czasie organizowania się związku uważałem, że powinien określić się on w nazwie jako chrześcijański, co dawałoby pretekst, aby nie przyjmować członków PZPR. Obawiałem się, że będą oni zakłócać pracę. W czasie wyborów do władz związku w przedsiębiorstwie sugerowałem, aby nie wybierano członków PZPR. Przyniosło to chyba niewielki skutek. Do związku wstąpił m.in. nowy dyrektor przedsiębiorstwa, członek PZPR Marian Dykacz, który miał duży autorytet wśród załogi, i sekretarz POP Ryszard

¹ Zob. relacja Stanisława Chmielewskiego - przyp. 3, s. 38.

Mazurczyk. Popierał on jednak „Solidarność” i aktywnie w niej działał, a w stanie wojennym został usunięty ze stanowiska sekretarza PZPR. Dyrektor był nam życzliwy, jednakże chyba na skutek odgórných nacisków utrudniał działania związku, długo nie przydzielając pomieszczenia, telefonu oraz etatów. Z racji pełnionej funkcji uczestniczyłem w licznych wtedy zebraniach, zwoływanych przez powstały MKZ. Związek został uwikłany w rozdzielanie różnych „dóbr”, jak papierosy na metry, skarpety, rajstopy, karpie na święta, w załatwianie ziemniaków itp., co zajmowało czas, utrudniało organizację i tworzenie programu. Przeprowadzono też w zakładach wybory do rad pracowniczych, walczono o budynki, sprzęt, wyposażenie, o prawo kontroli magazynów żywnościowych, o wprowadzenie kartek żywnościowych. W sklepach były pustki, a jednocześnie znajdowano w lasach tony zepsutego mięsa. Władze grały na czas i wyczerpanie ludzi. Trwały dyskusje nad programem działania i organizacją władz regionu. Napisałem rezolucję skierowaną do KK NSZZ „Solidarność”, w której przedstawiłem swe poglądy, zarysowałem ogólnie rodzaje koniecznych reform i sposób ich przeprowadzenia. Rezolucję odczytałem na zebraniu delegatów w moim przedsiębiorstwie, gdzie została jednomyślnie uchwalona, po czym złożyłem ją w Zarządzie Regionu na ręce Andrzeja Borzęckiego.

W październiku 1980 roku zostałem członkiem Konfederacji Polski Niepodległej. Chciałem do niej przystąpić od razu po jej powstaniu w 1979 roku, ale nie miałem kontaktu. Franciszek Grabczyk dał mi adres Adama Macedońskiego, a ten zaprowadził mnie wprost do Zygmunta Łenyka, który po pewnym czasie odebrał ode mnie przysięgę. Obecny był przy tym Kazimierz Apanowicz. Potem wprowadziłem do KPN dwóch kolegów z przedsiębiorstwa, Jana Szelesta i Wojciecha Soczawę. Zygmunt Łenyk skierował mnie do Wojciecha Oberca, abym z nim współpracował. W Konfederacji zajmował się on wydawnictwami, pisał artykuły i ulotki. Dostarczał mi gotowe teksty na matrycach powielaczowych, które następnie powielalem u siebie „na ramce” w mieszkaniu na Azorach, niemal wszystko poczynawszy od ulotek i odezw, poprzez różne wydawnictwa kapeenowskie m.in. „Opinię Krakowską”, „Rewolucję bez rewolucji” Moczulskiego itp. Przeważnie pomagała mi mama lub brat, a także koledzy Wojciech Soczawa i Ezechiel Makowski. Na spotkaniach u Łenyka poznałem m.in. Michała Żurka, Andrzeja Izdebskiego, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Stanisława Palczewskiego, Aleksandra Staszczaka, Krzysztofa Bzdyla, Kazimierza Zmarzlika i wielu innych.

Od tej pory zmuszony byłem dzielić czas pomiędzy działalność w „Solidarności” a pracę na rzecz KPN. Koniec 1980 roku był dość burzliwy, zwłaszcza w Związku. Uwidoczniły się tarcia w Zarządzie Regionu, spowodowane rozbijackim działaniem pierwszego przewodniczącego MKZ, Stanisława Zawady. Zapamiętałem listopadowe zebranie przewodniczących KZ z Małopolski, które odbyło się w Filharmonii (24 listopada 1980). Na tym zebraniu Maria Sierotwińska, Andrzej Cyran, Andrzej Borzęcki, Józef Lassota i Michał Żurek poinformowali zebranych o akcji zorganizowanej przez Stanisława Zawadę, przeprowadzonej przy pomocy dwóch członków PZPR – przewodniczących KZ w MPK i PKS – Karyczka i Chwastka. Polegała

ona na rozpowszechnianiu wśród załóg przedsiębiorstw bez wiedzy członków MKZ nieprawdziwych wiadomości o przynależności wyżej wymienionych członków MKZ do KPN, o próbie przejęcia władzy w regionie przez KPN, co miało grozić delegalizacją związku itp. Celem akcji Zawady było wyeliminowanie najaktywniejszych ludzi, związanych z opozycją lub krytycznie nastawionych do PZPR. Zawada wyraził się, że woli pocałować członka PZPR w tyłek niż podać rękę kapeenowcowi. Z grupy obciążonych przez niego do KPN należał tylko Michał Żurek, o czym wszyscy wiedzieli. Pretekstem wykorzystanym przez Zawadę do rozbicia MKZ było napisanie przez Żurka kapeenowskiej ulotki na maszynie w biurze MKZ. Atmosfera była bardzo napięta. Stanisławowi Zawadzie zarzucono także złe kierowanie pracą MKZ, pijaństwa odbywające się w siedzibie związku, na co skarżyły się sprzątaczkę, bałagan organizacyjny itp. Mieczysławowi Gilowi, zastępcy Zawady zarzucono, że zamiast pracować w biurze MKZ urzęduje przy koniaku w kawiarni „Kopciuszek”. Zawada tłumaczył, że może raz czy dwa wypił jakiś kieliszek podczas imienin urządzanych przez kolegów, a Gil załatwia sprawy związkowe w „Kopciuszku”, gdyż obawia się w MKZ podsłuchu. Zawada w swoim dość zręcznym wystąpieniu nie zaprzeczył przedstawionym faktom, ale zdecydowanie bronił swych działań usprawiedliwiając je interesem NSZZ „Solidarność”. M.in. mówił, że bardzo dużo pracuje w terenie, zakładając NSZZ „S” w różnych miejscach, nawet w ubikacjach, gdyż poza Krakowem ludzie nadal byli zastraszani.

Wielu zebranych było zaskoczonych sytuacją, poczuło się niepewnie i niesmacznie. W pewnym momencie do mikrofonu podszedł jakiś przedstawiciel Myślenic i powiedział, że w Polsce jest jedna „Solidarność”, a jej szefem Lech Wałęsa, zaś w Małopolsce Staszek Zawada. Kto zatem jest przeciwko Wałęsie i Zawadzie, ten jest przeciwko „Solidarności”. O dziwo, zebrał gromkie brawa od zgromadzonych na sali. Wglądało na to, że tzw. grupa krakowska, czyli oponenti Zawady przegrała na całej linii. Po nim ja otrzymałem głos. W swoim wystąpieniu wykorzystałem przeciwko Zawadzie jego wypowiedź, że wolałby pocałować w tyłek członka PZPR, niż podać rękę kapeenowcowi. Zapytałem, jak w ogóle można porównywać antypolską, wasalną wobec Moskwy organizację, jaką jest PZPR, z polską, niepodległościową partią KPN. Zarzuciłem mu rozbijanie Związku przy pomocy dobranych członków PZPR. Sala parę razy przerywała mi brawami. W efekcie spowodowałem, że nastroje delegatów uległy pełnemu odwróceniu. Gdy wracałem na miejsce, przechodziłem obok Zawady, który złapał mnie za rękę i próbował się jeszcze tłumaczyć. Został zawieszony w pełnieniu funkcji przewodniczącego, co w praktyce oznaczało jego usunięcie z zarządu.

Następnym problemem, który się ujawnił, było utworzenie w Małopolsce branży budowlanej. „Solidarność” zgodnie ze statutem miała mieć strukturę terytorialno-zawodową, a nie branżową. Na pierwsze zebranie zorganizowane w CeBeA przez Romana Pырczaka zaproszono przewodniczących komisji zakładowych przedsiębiorstw budowlanych. Podczas obrad zdecydowanie sprzeciwiłem się pomysłowi organizowania branż, argumentując, że jest to działanie wymierzone w „So-

lidarność”, osłabiające jedność związku. Doszło do ostrej wymiany zdań między mną a Pyrczakiem, który nazwał mnie zdrajcą. Przeciw utworzeniu branż wystąpiłem ponownie na zebraniu przewodniczących komisji zakładowych, które odbyło się w Domu Żołnierza, gdzie jednak z powodu oburzenia „zacukałem się”, milcząc chwilę, nie mogąc dobrać odpowiednich słów. Nie wywołałem dobrego wrażenia. Po moim wystąpieniu próbował ratować sytuację jeden z uczestników zebrania, popierając mnie mocno. Przegraliśmy jednak konfrontację z bardzo wymownym i przekonującym Pyrczakiem.

W lutym 1981 zostałem członkiem Komisji Krakowskiej² i wybrany do grupy kierowanej przez Tadeusza Piekarza, która miała zadanie przejęcia części majątku związków branżowych. Pracowałem też w grupie kierowanej przez Tadeusza Syryjczyka, przygotowującej projekt ordynacji wyborczej do władz regionalnych.

Już wiosną 1981 roku, w czasie tzw. kryzysu bydgoskiego, byłem przekonany, że w nas uderzą, mówiłem na posiedzeniu Komisji Krakowskiej o konieczności tworzenia grup samoobrony w zakładach pracy, szkolonych przez specjalistów współpracujących z „Solidarnością”. Oficjalnie miały się one nazywać grupami porządkowymi, a ich zadaniem miała być ochrona siedzib związku, zakładów pracy w czasie strajków i manifestacji związkowych. Złożyłem dwa formalne wnioski, jeden o powołaniu tych grup, drugi o powołaniu sekcji kontrolnej, która by sprawdzała stan przygotowań do zapowiedzianego strajku generalnego i kontrolowała realizację polityki władz NSZZ „Solidarność” w poszczególnych zakładach pracy. Dochodziły bowiem sygnały, że przewodniczący niektórych KZ nie robią nic w tej sprawie. Prowadzący to zebranie Robert Kaczmarek wzbraniał się przyjąć te wnioski, a w końcu zmanipulował moją wypowiedź, pytając „czy mamy mieć swoje UB i ZOMO”. Efekt był taki, że przy głosowaniu tylko 3 osoby mnie poparły, jedna była przeciw, a zdecydowana większość obecnych wstrzymała się od głosu. Mobilizacja załóg w całym kraju była bardzo duża, ludzie byli zdeterminowani do podjęcia walki. Opracowywano plany obrony zakładów pracy. W czasie gotowości strajkowej zorganizowano nocne dyżury grup pracowników w przedsiębiorstwach, zgromadzono zapasy żywności. Czuło się dramatyzm sytuacji jak przed ostateczną rozgrywką. Do dziś uważam, że odwołanie wtedy strajku generalnego przez trzech spośród czterech obecnych członków siedmioosobowego Prezydium KK było błędem. Od tego momentu Związek znalazł się w defensywie. Przy czym Andrzej Gwiazda twierdził potem, że był przeciw, lecz zmusił go Wałęsa do głosowania za odwołaniem strajku. W dniu, w którym Wałęsa odwoływał strajk

² Komisja Krakowska czyli Komisja MKZ Małopolska w Krakowie była pozastatutowym ciałem utworzonym 9 II 1981. Powołano ją dla zniwelowania istniejącej w MKZ dysproporcji pomiędzy liczbą delegatów z mniejszych ośrodków Małopolski a reprezentantami samego Krakowa. 400 tys. związkowców z Krakowa reprezentowało w MKZ tylko 16 osób, podczas gdy 300 tys. członków „S” z terenu miało 21 delegatów. KK utworzyli członkowie Zarządu z woj. miejskiego krakowskiego oraz 30 przedstawicieli wybranych w pionach kolportażowych systemu ABC z terenu woj. krakowskiego. KK istniała do czasu powołania Zarządu Regionu na Walnym Zebraniu Delegatów w Tarnowie w lipcu 1981.

generalny, utworzyliśmy w siedzibie MKZ przy al. Krasieńskiego Komitet Obrony Więzionych za Przekonania³ w Krakowie⁴. Należałem do jego członków założycieli. Głównym celem powołania KOWzP, w związku z bezczynnością ZR, było uwolnienie więźniów politycznych, m.in. przetrzymywanego od września Leszka Moczulskiego⁵ i jego najbliższych współpracowników, w tym Krzysztofa Bzdyla, pracownika MPK Kraków. W MPK ogłoszono gotowość strajkową na terenie całego Krakowa. Na inauguracyjnym zebraniu z udziałem ok. 40 osób zgłoszono mnie do komisji skrutacyjnej. Zebranie prowadził Zygmunt Łenyk. Wśród zebranych przeważali członkowie lub sympatycy Konfederacji, ale przewodniczącym Komitetu Założycielskiego został niezwiązany z KPN Jerzy Kuczera. Pamiętam, że podczas tych wyborów powstało zamieszanie, bo w żaden sposób, pomimo dwukrotnego głosowania, nie mogliśmy doliczyć się jednego głosu. W czasie zebrania założycielskiego przyszedł teleks z informacją o odwołaniu strajku generalnego. W reakcji na tę wiadomość chyba Bogusław Sonik głośno powiedział „zdrada!”. To ilustruje panujące wtedy nastroje. W I turze zjazdu małopolskiej „Solidarności” przed wyborami do władz regionu doszło do ostrych sporów i starć w związku z uchwaleniem ordynacji wyborczej. Grupa Gila i Kuligi, który był autorem bardzo rozbudowanego i skomplikowanego projektu ordynacji, oderwanego od istniejących już struktur, dążyła do jego przeforsowania. Nastąpił spór pomiędzy zwolennikami tego projektu, a zwolennikami projektu znacznie prostszego, dostosowanego do istniejących struktur, napisanego przez zespół utworzony przez Komisję Krakowską pod kierownictwem Tadeusza Syryjczyka. Gil, Kuliga i Rozmarynowicz bardzo ostro zaatakowali zwolenników ordynacji opracowanej przez zespół Syryjczyka, zarzucając im opóźnianie prac nad ordynacją. Początkowo zwolennicy ordynacji Kuligi domagali się, aby drugiego projektu Komisji Krakowskiej w ogóle nie brać pod uwagę i od razu odrzucić. Propozycja ta jednak po ostrych sporach nie przeszła.

Ujawniały się skutki „tworzenia” przez Gila i Zawadę „Solidarności” w terenie. Widoczna była jednomyślność i dobre zorganizowane delegatów z terenu, którzy głosowali przeciwko propozycjom Krakowa. Mimo to jednak udało się

³ Komitet Obrony Więzionych za Przekonania (KOWzP), powołany 10 X 1980 przez Krajową Komisję Porozumiewawczą NSZZ „Solidarność”, ukonstytuował się dziesięć dni później w składzie: przewodniczący Aleksander Hall, członkowie: Andrzej Wajda, Kazimierz Dejmek, Wanda Wiłkomirska, Marian Brandys, Tadeusz Konwicki, Halina Mikołajska, Władysław Bartoszewski, Klemens Szaniawski, Władysław Siła-Nowicki, Aniela Steinsbergowa, Jacek Taylor, Jan Olszewski. Od marca 1981 r. zaczęły powstawać regionalne KOWzP. 9 V 1981 odbył się I Ogólnopolski Zjazd regionalnych i uczelnianych Komitetów Obrony Więzionych za Przekonania. 25 V 1981 w kilkunastu miastach Komitety zorganizowały wielotysięczne manifestacje w obronie więźniów politycznych.

⁴ 9 X 1981 krakowski KOWzP wybrał prezydium, na czele którego ponownie stanął Jerzy Kuczera, w jego skład weszli Stanisław Kuś, Krzysztof Bzdyl, Zygmunt Łenyk, Ryszard Majdzik, Józef Lassota, Jan Pacula, Stanisław Zamojski, który został jego rzecznikiem.

⁵ 23 IX 1980 aresztowano Leszka Moczulskiego przewodniczącego Konfederacji Polski Niepodległej. Zarzucono mu, że w wywiadzie udzielonym niemieckiemu pismu „Der Spiegel” „poniżył godność naczelných organów PRL”. Tym samym reżim złamał postanowienia punktu czwartego porozumień gdańskich.

przekonać zdezorientowanych delegatów z terenu i uchwalić kompromisowy projekt ordynacji. Jednak nie udało się przeprowadzić całego zjazdu w Krakowie. Pomimo tego, że większość delegatów pochodziła z Krakowa, terenowa mniejszość, sprawnie kierowana, przegłosowała przeniesienie II tury do Tarnowa, co wiązało się z większymi kosztami.

W czasie prawyborów w okręgu wyborczym Podgórze kandydowałem do Zarządu Regionu. Zostałem wpisany na listę kandydatów do Zarządu, ale na trzecim z kolei miejscu niemandatowym. W czasie przedstawiania programów przez kandydatów mówiłem, że komuna podpisywała z nami porozumienia, nie mając nigdy zamiaru ich dotrzymać, że negocjując ze Związkiem od samego początku przygotowywała się do zdławienia „Solidarności” i wprowadzenia stanu wojennego. Powiedziałem, że musimy natychmiast przystąpić do przygotowań strajku generalnego, aby uprzedzić ich działania, bo inaczej w jedną noc z wolnej soboty na niedzielę, zamkną nawet 50 tys. ludzi, a społeczeństwo nie zaprotestuje, bo nie będzie miało przywódców. Wyrażałem pogląd, że związek powinien zrobić rzecz najważniejszą – zorganizować sprawnie działającą, potężną siłę, która będzie walczyć o realizację porozumień sierpniowych, a szczególnie punktu czwartego mówiącego o zakazie aresztowań i prześladowań ludzi za głoszenie poglądów politycznych⁶. Umożliwiłoby to tworzenie przez istniejące już wtedy partie polityczne programów reform politycznych i gospodarczych. Natomiast „Solidarność” ma przede wszystkim przygotować się do obrony przed atakiem komuny. NSZZ „Solidarność” nie powinna się zajmować tworzeniem programów politycznych i gospodarczych, gdyż groziłoby to sporami i podziałami, a więc osłabieniem związku i uniemożliwieniem obrony oraz oddaleniem zwycięstwa.

W czasie mojego wystąpienia słychać było głosy delegatów wyrażających opinie o mnie: radykał, fundamentalista. W konkurencji o miejsca mandatowe na liście kandydatów zostałem wyprzedzony przez dwóch członków, w tym przez Teresę Starmach, członka PZPR, która miała program przeciwny mojemu. Uspokajała nastroje, zwracała uwagę na konieczność ewolucyjnych zmian i unikania starć. Zarysował się podział delegatów na radykałów i ugodowców. Przewagę zdobyli ci ostatni.

Zgłoszono również moją kandydaturę na przewodniczącego ZR, lecz odmówiłem kandydowania z powodu braku prerogatyw przewodniczącego ujętych w statucie związku. Pierwsza tura zjazdu, która odbyła się w hali „Hutnika”, przebiegała początkowo w atmosferze ostrych starć i dużego bałaganu. Porządek zapanował dopiero po objęciu prowadzenia zjazdu przez Tadeusza Syryjczyka. W czasie II tury zjazdu w Tarnowie dał się zaobserwować silny antagonizm pomiędzy Krakowem a pozostałymi ośrodkami regionu. Na Walnym Zjeździe przewagę liczebną

⁶ Postulat czwarty 21 postulatów gdańskich, podpisanych 31 VIII 1980, gwarantował: „Przywrócenie do poprzednich praw: – ludzi zwolnionych z pracy po strajkach 1970 i 1976 roku, – studentów wydalonych z uczelni za przekonania; b) uwolnienie wszystkich więźniów politycznych (w tym Edmunda Zdrożyńskiego, Jana Kozłowskiego i Marka Kozłowskiego); c) zniesienie represji za przekonania”.

mieli delegaci z Krakowa. Niepokój o losy związku wywoływały spory i przepychanki oraz świadomość, że „Solidarność” od jakiegoś czasu znajduje się w defensywie i nic nie robi, aby przygotować się do konfrontacji z komunistami. W czasie przerwy zastanawialiśmy się jak spowodować, żeby przewodniczącym zarządu regionu został ktoś znany z Krakowa. Delegaci z Krakowa obawiali się, aby przewodniczącym regionu nie został Stanisław Zawada, Mieczysław Gil lub inny popierający ich kandydat. W grupie delegatów z Krakowa (m.in. Pieronek, Majdzik, Sonik, Blicharz) zaproponowałem następujący sposób głosowania. Kandydaci z Krakowa w I turze oddają głosy na odpowiadającego im kandydata z Krakowa, a w II turze na tego kandydata z Krakowa, który w I turze uzyska najwięcej głosów. W I turze głosowania cały teren głosował na Zawadę, który jednak nie uzyskał 51 proc. wymaganych głosów i w II turze zrezygnował z kandydowania. Z powodu jakiegoś nieporozumienia lub z innych przyczyn, pomimo liczebnej przewagi kandydatów z Krakowa, po długim obliczaniu głosów przewodniczącym został wybrany przedstawiciel terenu, Waław Sikora z Tarnowa. W czasie wyborów odczuwało się nieufność i niechęć delegatów terenu do delegatów z Krakowa. Wybór został przyjęty przez całą salę owacją na stojąco. Nastąpiło odprężenie i nowe władze zaczęły po tym lepiej pracować.

Jesienią atmosfera była już bardzo napięta, konfrontacja wydawała się nieunikniona. W październiku odbyło się zebranie KOWzP w PRK-9 przy ul. Dzierżyńskiego (obecnie Lea), gdzie szefem KZ „Solidarności” był Jan Pacula. Obecni na nim byli jako obserwatorzy przedstawiciele opozycji z Czechosłowacji. Byli zdegustowani i zawiedzeni wypowiedzią Michała Sicińskiego, który mówił o zmęczeniu społeczeństwa, o apatii wśród załóg, o tym, że ludzie nie zdecydują się na strajk przed świętami. Zdenerwowany, zaatakowałem go, zarzucając mu defetyzm. Spodziewając się przesilenia, zaproponowałem podjęcie zdecydowanych kroków zmierzających do przygotowania się całego związku na wypadek wprowadzenia stanu wojennego – przygotowania się do obrony czynnej, ogłoszenia wyprzedzającego strajku generalnego. Uważałem, że wobec zdeterminowanych załóg komunistki mogą się cofnąć. Uzyskałem aplauz i w efekcie sala mnie poparła. Powołałiśmy tam dwa zespoły do opracowania wspomnianej rezolucji. Niestety zespół do którego trafiłem wskutek obstrukcji nieznanego mi z nazwiska działacza nie sformułował żadnych propozycji na piśmie. Na szczęście zrobił to drugi zespół, w rezolucji którego znalazły się wszystkie zgłoszone przeze mnie propozycje, i została ona odczytana w pierwszych dniach grudnia 1981 na zebraniu w Hali Hutnika.

Było to ostatnie przed stanem wojennym spotkanie przewodniczących komisji zakładowych z całego regionu. Na zgromadzonych największe wrażenie zrobiło wystąpienie doktora Janusza Kutyby z Akademii Medycznej, który odczytał świeżo wydaną instrukcję ministerstwa zdrowia⁷. Dokument ten traktował jak należy postępować w sytuacji różnego rodzaju zagrożeń. Jakkolwiek nie było w nim mowy

⁷ Szerzej zob. relacja Janusza Kutyby, [w:] *Stan wojenny w Małopolsce...*, s. 63.

o stanie wojennym, to zalecany sposób działań świadczył niezbitcie, że opracowano go na potrzeby właśnie takiej sytuacji. Sala zamarła. Nastrój zrobił się minorowy. Żaden z siedzących za stołem prezydyjnym członków Zarządu Regionu nie odezwał się ani nie ustosunkował do wystąpienia Kutuby, zaproponowano za to zabranie głosu obecnym na sali. Zaległa cisza. Jakby wbrew dotychczasowej praktyce, gdy chętnych do głosu nie brakowało, tym razem jakoś nikt nie kwapił się podejść do mikrofonu. Najgorsze było to, że siedzący za stołem prezydyjnym przywódca małopolskiej „Solidarności” nie mieli żadnych propozycji. Odniosłem wrażenie, że sytuacja ich przerosła. Było mi po prostu wstyd. Tym bardziej, że obrady filmowała jedna z amerykańskich telewizji i choć zupełnie nie planowałem wystąpienia, zdenerwowany tą sytuacją zdecydowałem się przerwać milczenie. Powtórzyłem zresztą tylko to, co mówiłem już od dawna, m.in. w czasie kampanii wyborczej do Zarządu Regionu, Komisji Krajowej oraz na zjeździe w Tarnowie i zebraniu KOWzP, gdzie uchwalono wspomnianą rezolucję. Nastrój na sali natychmiast się zradycalizował, rozległy się burzliwe brawa. Po moim wystąpieniu głos zabrał Jerzy Kuczera i jako przewodniczący KOWzP odczytał tekst przygotowanej przez nas rezolucji zawierającej bardzo radykalne i konkretne propozycje: natychmiastowe ogłoszenie strajku generalnego w Polsce i przygotowanie zakładów pracy i regionów do czynnej obrony. Reakcja sali na wystąpienie Kuczery była już inna. Rozległo się kilka gwizdów, kilka osób zaczęło tupać, ktoś krzyknął, że to prowokacja. Atmosfera zrobiła się nerwowa. Zaczęto krytykować Kuczera oraz treść rezolucji. Dało się słyszeć głosy, że tak ostro nie można postępować, że nie można prowokować władz itp. Radykalny nastrój znów się ulotnił. Rezolucja została odrzucona. Nie podjęto żadnych decyzji. Wśród zebranych w hali „Hutnika” była grupa takich, którzy świadomie robili wszystko, aby stordedować konstruktywne uchwały. Do dziś nie mogę sobie podarować, że nie zabrałem głosu po raz drugi, bo może udałoby mi się odwrócić sytuację. Nie wystąpiłem z powodu „pokpiwań” siedzącego obok mnie Jacka Hojasa z Wieliczki, który powtarzał „no powiedz coś!”. W początkach grudnia byłem bardzo zajęty. W domu miałem prawie pół tony papieru, ponad 100 ryz. Szczęśliwie tuż przed stanem wojennym zdążyłem wszystko powielić i wynieść z domu.

13 grudnia około 6 rano wpadł Wojtek Oberc mówiąc, że ogłosili stan wojenny i żebym wiał z domu. Zdążyłem trochę się ogarnąć i zacząłem pakować sprzęt do powielania oraz resztki wydawnictw, które miałem w mieszkaniu. Na to nadzszedł mieszkający w pobliżu Jan Szelest, kolega z Fadomu, a zarazem członek KPN, który pomógł mi to wszystko upchać do dużego, wiśniowego jak na złość, nesesera, jak mi się wydawało tym bardziej zwracającego uwagę. Odprowadził mnie na postój taksówek, gdyż komunikacja miejska nie działała i dalej sam pojechałem na Dworzec Główny. O dziwo było tam całkiem spokojnie, milicji nie było widać, pasażerów kręciło się niewielu, zdawać się mogło, że to zwykły mroźny, zaspany, niedzielny poranek. Pojechałem pociągiem do Wieliczki, a stamtąd taksówką do wsi Siercza, gdzie mieszkała moja ciotka. U niej w stodole ukryłem całą zawartość walizki. Nie byłem tam długo, bo po południu umówiłem się z Szelestem pod

kinem „Kijów”. Chciał on wiedzieć, czy udało mi się bezpiecznie powrócić, gdyż uzgodniliśmy, że w poniedziałek ogłaszam w KPB strajk.

Z Dworca Głównego pieszo dotarłem pod kino „Kijów”. Ponieważ miałem jeszcze trochę czasu, postanowiłem zobaczyć, co się dzieje pod siedzibą Zarządu Regionu Małopolska. Szedłem drugą stroną alei Krasińskiego i zobaczyłem w przejściu pod budynkiem dużą grupę milicjantów czy zomowców, która otaczała dwie osoby – jakiegoś mężczyznę z kobietą. Po tym, jak udało mi się bezpiecznie przewieźć „trefne” materiały, czułem się luźno i pewnie. Przypuszczałem, że milicjanci i esbecy pacyfikujący Zarząd Regionu nie mają za zadanie aresztować przypadkowych przechodniów. Postanowiłem przejść obok nich na ulicę Wygody, aby się dowiedzieć kogo aresztowano?

Efekt był taki, że gdy tylko znalazłem się przy nich, to kobietę i mężczyznę wypuścili, a mnie natychmiast otoczyli, zabrali mi dokumenty i zatrzymali. Jakiś tajniak stwierdził, że mają otworzyć sejf Zarządu Regionu i procedura wymaga, aby niezależny świadek z ulicy podpisał protokół, że to tylko formalność i potem pójdę do domu. Oświadczyłem, że się nie zgadzam i protokołu nie podpiszę. Zażądałem zwolnienia i zaproponowałem, aby znaleźli sobie kogoś innego. Esbek oświadczył, że mnie nie wypuści, gdyż wszyscy, którym dotychczas proponował rolę świadka, odmówili, a on nie ma już czasu i ma tego dość. Odpowiedziałem, że ja też nie podpiszę, tym bardziej, że jestem chory i muszę jak najszybciej położyć się do łóżka. On na to – „ale podpisze pan, podpisze”. Ponownie zaprzeczyłem i otoczony przez kilkudziesięcioosobową grupę zomowców, tak że nie miałem szans na ucieczkę, zostałem wprowadzony do holu budynku Zarządu Regionu. Tam esbek zaczął mnie wypytywać, gdzie byłem i dokąd idę, po co mi walizka, którą kazał mi otworzyć, aby sprawdzić co w niej mam. Wymyśliłem na poczekaniu bajkę o wyprawie po wędliny na święta. Po czym z liczną obstawą ZOMO zaprowadzono mnie na górne piętro do niedużego pokoju, gdzie była kasa pancerna. Podczas przejścia po schodach i korytarzach wszędzie chrzęściło szkło z gablot i drzwi, zalegające podłogi. Esbek usiadł po jednej stronie stojącego pod ścianą stołu, a mnie kazał usiąść po drugiej. Ociągając się odpowiedziałem, że tracą czas, gdyż i tak nie podpiszę żadnego protokołu, na co esbek: „podpisze pan, podpisze i pójdzie do domu”. Jakiś „fachowiec” po czterdziestu kilku minutach przy pomocy wiertarki uporał się z kasą. W tym czasie ja, zły na siebie, że dałem się tak głupio złapać, myślałem nad tym jak mam postąpić. Wiedziałem, że w wypadku odmowy zostanę zatrzymany, a po sprawdzeniu aresztowany. Ponieważ odmowa podpisania protokołu nie przeszkodziła w otwarciu kasy, doszedłem do wniosku, że jedyną szansą, aby uniknąć aresztowania i dotrzeć nazajutrz na strajk jest podpisanie protokołu. W rozprutej kasie, pamiętam, znajdowały się tylko pieniądze w różnych walutach zachodnich. Sprawdziłem protokół dokładnie i go podpisałem. Potem sprowadzili mnie na dół. Już byłem przy drzwiach wyjściowych, gdy jakiś starszy ubek kazał mi się zatrzymać pytając, co tu robisz i co mam w walizce. Powiedziałem, że byłem podpisać protokół otwarcia kasy i znowu powtórzyłem bajkę o wyprawie po wędlinę. Ten jednak nie dał za wy-

graną, mówiąc, że muszę z nimi jechać na komendę na Mogilskiej, bo to był tylko prowizoryczny protokół i że tam wszystko się wyjaśni. Zrozumiałem, że wpadłem.

Na Mogilskiej posadzono mnie w dyżurce, gdzie czekałem około godziny. Panował duży ruch, przychodzili m.in. myśliwi, którzy zdając broń psioczyli i przeklinali komunę. W końcu ustalili kim jestem. Przyszedł po mnie tajniak, który zabrał mnie windą do pokoju na którymś z pięter, gdzie z uśmiechem na ustach wręczył mi decyzję o internowaniu, mówiąc „aleś nam się pan nawinął”. Próbowali mnie przesłuchiwać, ale odmówiłem odpowiedzi na wszystkie pytania z wyjątkiem jednego. Zdenerwowało to troszkę przesłuchującego mnie esbeka. Powiedział „jak pan taki niegrzeczny, to może porozmawia pan z moim kolegą”. Wszedł wysoki, dobrze zbudowany esbek z pistoletem na szelkach. Zdjął go i położył przede mną na biurku, co spowodowało, że roześmiałem się na głos, coś mu żartobliwie powiedziałem i przestali mnie straszyć. Trafiłem do celi, gdzie spędziłem noc. W poniedziałek rano (14 grudnia) wyprowadzono mnie do dużego pomieszczenia, gdzie za stołem siedziało kilku milicjantów, a w rogu była stalowa klatka, w której mnie zamknięto i przeprowadzając rewizję osobistą kazano mi się rozebrać do naga. Doszło tam do rozmowy między mną, a dyżurnym sierżantem, który z przejściem pytał „co teraz będzie?” Pozostali również byli przejści sytuacją. Odpowiedziałem z pewnością, że jutro nastąpi strajk generalny w całym kraju. Zauważyłem dużą niechęć dyżurnego sierżanta do esbeka, który mnie odbierał z aresztu. Gdy esbek przedstawił jakiś dokument podpisany przez siebie, sierżant dość ostro zapytał „Kim pan jest, ma pan jakiś stopień?”. Esbek odpowiedział „mam”, na co sierżant odpowiedział ostrym tonem – „to wpisz pan”. Potwierdzało się, że znaczna część funkcjonariuszy milicji, służby więziennej, zawodowych wojskowych sympatyzowała z „Solidarnością”, co nie zostało przez nas wcześniej odpowiednio wykorzystane. Wsadzono mnie do „nyski”, którą powieszono razem z Władysławem Krupiarzem i działaczami rolniczej „Solidarności” Wierczyśławem Nowackim i chyba Waldemarem Mikulcem do Wiśnicza. Dwaj ostatni byli skuci ze sobą kajdankami. Początkowo czuliśmy się nieswojo, gdy zobaczyliśmy, że wiozą nas na wschód. W Wiśniczu początkowo siedziało nas kilku w dużej celi w piwnicy, bez kanalizacji, w kącie stał kibel i duża miednica pełna brudów. U sufitu wisiała na przewodach żarówka, refleksy ognia z popękanego małego pieca odbijały się na ścianach. Umieszczone wysoko małe okno wychodziło na dziedzińiec. Zaraz nawiązali z nami kontakt więźniowie kryminalni. Za pomocą papierowej dmuchawki wystrzelili z okna 3 piętra naprzeciwko kulkę z nitką, którą trafili w nasze okno. Zrobiliśmy coś w rodzaju minikolejki linowej. W ten sposób przesłali nam list o górnołotnej treści, w którym pomstowali strasznie na komunę, a na końcu poprosili o papierosy, które im wysłaliśmy. Po kilku dniach przeniesiono nas do celi na piętro, gdzie siedziało nas ponad trzydziestu, m.in. Apanowicz, Gąsiorowski, Lassota, Kaczmarek, Piotr Gajdarski, Krzysztof Görlich, Pakoński, Wawrzycki, Małek, Zmarzlik, Staszczak, Żurek, Krupiarz, Mikulec, Maciejowski, Zbylut Grzywacz. Warunki były tam całkiem niezłe, kanalizacja, centralne ogrzewanie, duże okna z widokiem na okolicę. Zaczęto nas przesłuchiwać. Część z nas, w tym

ja, była przeciwna wychodzeniu na przesłuchania, inni uważali, że należy rozmawiać, aby się czegoś dowiedzieć. W mojej celi ustalono, żeby chodzić. Chyba tylko Kazimierz Apanowicz się temu nie podporządkował i prawie w ogóle nie wstawał z łóżka, nawet na wieczorne apele. Z naszej celi pierwszego wezwano Krzysztofa Gąsiorowskiego. Trzymali go od popołudnia do pierwszej w nocy. Wzywano następnie innych, w tym mnie. Poszedłem, ale odmówiłem odpowiedzi na wszystkie pytania. Zaproponowano mi podpisanie lojalki obiecując zwolnienie. Odmówiłem kategorycznie. Z naszej celi tylko Andrzej Wawrzycki oświadczył, że podpisze lojalkę z jakiś bardzo ważnych powodów, których nie wyjawiał. Uważałem to za niedopuszczalne, ktoś jednak lojalkę podpisał, gdyż kilku internowanych zostało zwolnionych przed świętami m.in. Wawrzycki, Görlich, Grzywacz. Do poważniejszego incydentu doszło w dniu, w którym mieli nas przewozić do Załęża. Rano kazali się pakować. Spakowaliśmy się, ale odmówiliśmy zgody na wyjazd, żądając sprowadzenia kogoś znanego nam z Kurii i powiadomienia go przy nas, gdzie nas przewożą. Zaczęli straszyć, pojawiła się grupa zomowców grożąc, że użyją siły. Tak minął cały dzień. Robert Kaczmarek, który prowadził pertraktacje z oficerami zrezygnował z poprzedniego żądania, domagając się tylko, aby dano nam pismo, w którym zostanie określone miejsce, w które zostaniemy przewiezieni. Wskoczyłem na środek celi oponując przeciwko propozycji Kaczmarka, oświadczyłem oficerowi, że teraz i tak nie pojedziemy, gdyż regulamin zabrania transportu więźniów nocą. Chciałem zmobilizować kolegów do zabarykadowania się w celi, otwarcia okien wychodzących na pobliską drogę i alarmowania mieszkańców Wiśnicza. Argumentowałem, że nie należy ustępować władzom i godzić się na stworzenie niebezpiecznej dla nas sytuacji. Ugodowa postawa Kaczmarka i innych uniemożliwiła opór. Wtedy zagroziłem nawet, że będę sam stawiał opór, ale zrezygnowałem z tego, gdyż uznałem, że nie ma to sensu. Krzysztof Maciejowski odwoził mnie od mojego zamiaru, mówiąc, żebym dał spokój i się nie wygłupiał. W końcu powiedzieli nam, że jedziemy do Załęża, o czym już wcześniej wiedzieliśmy od więźniów. Internowani zgodzili się opuścić cele. Sama ewakuacja wieczorem nie wyglądała przyjemnie. W ostrym mrozie, w świetle reflektorów przechodziliśmy z tobołkami pomiędzy szpalerem zomowców z psami do więźniarek, w których nas ciasno upychano, tak, że nie można było ruszyć nogą. Wadliwe ogrzewanie w więźniarce kazaliśmy kierowcy wyłączyć, gdyż bardzo zadymiało wewnątrz, powodując szczypanie w oczy i gryzienie w gardle. Czuliśmy się prawie tak jak w komorze gazowej. W czasie transportu próbowaliśmy zagadywać dwóch konwojentów, ale byli oni do nas wrogo nastawieni lub wystraszeni, bo milczeli jak zakłęci. Natomiast kierowca wydawał się życzliwy i w czasie postoju pytał czy jest ciepło. Gdy zapytaliśmy gdzie jedziemy, z początku nie chciał, ale w końcu powiedział „szerokie tory”. Do Załęża dojechaliśmy wcześniej rano, zatrzymując się po drodze wielokrotnie. Musieliśmy czekać zamknięci w więźniarkach dosyć długo na przyjscie do pracy I zmiany. Rozlokowali nas przeważnie po czterech w sześciuosobowych celach. Początkowo siedzieliśmy we trójkę z Konstantym Miodowiczem i Andrzejem Warchałowskim z krakowskiego ośrodka TVP, w celi,

gdzie jedna z szyb była wybita. Otwór zasłoniliśmy zdjętym z łóżka materacem. W Załężu niemal od samego początku zaczęły się konflikty. Próbowali nas traktować jak zwykłych aresztantów i narzucić regulamin więzienny. Już w pierwszym dniu klawisz zażądał abyśmy na noc wystawili przed celę złożone w kostkę ubrania. Zdecydowanie odmówiliśmy. Za naszym przykładem poszły inne cele, tak że w końcu dał sobie spokój. Odmówiliśmy także wstawania na obowiązujące w więzieniu poranne i wieczorne apele, podobnie jak wstawania z łóżek, gdy w drzwiach pojawiał się klawisz. W ramach bojkotu więziennego regulaminu namówiłem kolegów, aby nie sprzątać celi. Po pewnym czasie zrobiło się tak brudno, że jako pierwszy ją posprzątałem.

Potem nastąpił okres pisania petycji z różnymi postulatami, które kierowaliśmy do naczelnika więzienia, i protestów głodowych. Pierwszą głodówkę ogłoszono jeszcze w Wiśniczu. Niektórzy, w tym ja, przerwali ją z powodu decyzji o przewiezieniu nas do Załęża. Zaraz po Nowym Roku rozpoczęliśmy głodówkę protestacyjną przeciwko m.in. wprowadzeniu stanu wojennego, urbanowskiej propagandzie w telewizji oraz przeniesienia kilku internowanych z pojedynczych do wspólnych cel. Głodowałem 10 dni, pozostali koledzy z celi nie głodowali. 19 stycznia 1982 na naszym oddziale rozpoczął się bunt przeciwko złemu traktowaniu. Wszystko zaczęło się od incydentu wywołanego przez naszą celę. Powodem było przekwaterowanie do nas Piotra Boronia. Znałem go wcześniej i nie miałem nic przeciwko niemu, powiedziałem jednak, że nie możemy dopuścić, aby nas przenoszono z celi do celi bez naszej zgody, bo pomijając fakt, że zżyliśmy się ze sobą, stwarza to możliwość podrzucania nam agentów. Zaproponowałem, aby w razie zmuszania nas stawić czynny opór. Nie upłynęło wiele czasu, gdy kazano mnie i Miodowiczowi się pakować, mówiąc że będą nas przeprowadzać do innej celi. Obaj odmówiliśmy. Podczas wyprowadzania nas na spacer zostaliśmy oddzieleni od grupy spacerowej i zamknięci w świetlicy. Stamtąd kilkakrotnie każdego oddzielnie brali do pokoju przesłuchań, gdzie esbecy i funkcjonariusze więzienni starali się nas nakłonić do zmiany celi. Za każdym razem odmawialiśmy, argumentując zgodnie z moimi wcześniejszymi propozycjami, że są to szykany, próba psychicznego osłabienia nas. Oświadczyłem, że będą musieli użyć siły, gdyż będę stawiał czynny opór, a wtedy nazajutrz będzie o tym mówiła „Wolna Europa” i ujawniona zostanie cała kłamliwa propaganda Urbana o komfortowych warunkach w jakich przebywamy. Pozwolono nam wrócić do celi. Pomyśleliśmy, że sprawa jest zakończona. Nagle drzwi się otworzyły i weszło ośmiu klawiszy. Czterech z nich chwyciło stojącego bliżej Konstantego Miodowicza i siłą wywlekli go na korytarz. Za moment pozostałych czterech otoczyło mnie. Położyłem się na pryczy, chwyciłem jej poręcz i oświadczyłem, że nie wyjdę i stawię czynny opór. Widząc, że zamierzają się na mnie rzucić zdążyłem tylko głośno krzyknąć „bija”. Stojący naprzeciw mnie klawisz trzymając ręce za plecami spytał „kto pana bije?”, po czym błyskawicznie wyciągnął rękę w moim kierunku i dmuchnął mi prosto w twarz gazem. Zabrakło mi tchu, nic kompletnie nie widziałem, czułem silne pieczenie i łzawienie oczu oraz ból w gardle. Przywarłem twarzą do poduszki,

kurczowo trzymając się poręczy. Jeden z nich zaczął mi wpychać w usta ręcznik i dusić. Inni ciągnąc mnie za włosy i ręce oderwali od łóżka, zginając mnie w pół zmusili do ukłęknięcia na podłodze. Jeden z klawiszy włożył mi palec w usta i wtedy ugryzłem go z całej siły, a on szpetnie zaklął i cofnął rękę. Z wykręconymi do tyłu rękami duszono mnie nadal. Gdy poczułem, że stracę za chwilę przytomność, przestałem z nimi walczyć i pozwoliłem dać się wyprowadzić na korytarz, gdyż nikt z internowanych nie reagował na moje krzyki. Zakneblowano mnie i trzymając za ręce wyprowadzono na korytarz. Tam gwałtownym szarpnięciem wyrwałem się klawiszom, zerwałem knebel i zacząłem głośno krzyczeć „Ratunku!” Złapano mnie za ręce i nogi. Usłyszeli to koledzy z innych cel i zaczęli tłuc w drzwi. Słyszałem jak Apanowicz krzyczał „Staszka Tatarę niosą”. Zrobił się straszny łomot, a mnie znowu zakneblowali tak mocno, że naderwali mi kąciki ust i zanieśli mnie do biura, gdzie siedziałem na krześle i byłem pilnowany przez zomowca, który w jednym ręku trzymał pałę, a drugą ręką mocno ścisnął z tyłu głowy ręcznik, którym byłem zakneblowany. Siedziałem w tym pokoju około pół godziny. Słyszałem okrzyki Adama Macedońskiego, informował obecnych na oddziale co się dzieje. Krzyczał, że z dwóch stron korytarza zgromadzono kilkudziesięcioosobowe grupy zomowców wyposażonych w tarcze, hełmy i pałki i rozwijających węże strażackie. W tym czasie zmieniono pilnującego mnie zomowca, gdyż stukaniem pałką w drzwi prosił o pomoc. Wtedy weszło kilku z pałami. Zapytali „czy się rzuca?”, gotowi mnie bić. Jednak pilnujący mnie uspokoił ich, wyjaśniając, że prosi o zmianę, gdyż boją go ręce. Stamtąd kilku zomowców zaprowadziło mnie do karceru, który znajdował się w suterenie, gdzie było zimno i ciemno. Stało tylko łóżko z twardą płytą pilśniową lub paździerzową zamiast materaca. Po jakimś czasie usłyszałem jak do cel obok wprowadzają kolegów. Słysząc było klepienie pałek i krzyki bitych. Ktoś krzyżąc pytał „gdzie jest Staszek Tatar?” Wyszedłem na poręcz łóżka i przez mały otwór pod sufitem krzyknąłem, że jestem w karcerze. Nastąpiła wymiana różnych informacji na temat tego co się stało. Było nas tam ponad 20, głównie ci, którzy po zejściu ze spacerniaka nie chcieli wejść do cel i ci, którzy w proteście zabarykadowali się w celach. Te ostatnie, jak później się dowiedziałem, grupa pacyfikacyjna otwierała za pomocą łomów. Rozpoczęliśmy głodówkę. Trzymali mnie tam do następnego dnia wieczorem. Po wyjściu dowiedziałem się, że cały pawilon internowanych ogłosił głodówkę solidarnościową z nami. Żądali naszego powrotu. Przerwano ją dopiero w dzień po naszym wypuszczeniu. Po powrocie na swój oddział, na hasło Radosława Hugeta koledzy z oddziału powitali Miodowicza i mnie głośnymi owacjami, panował radosny nastrój z odniesionego zwycięstwa, po czym ku mojemu zdziwieniu i rozczarowaniu Huget zaczął mnie namawiać, abym się już nie opierał gdyby chcieli mnie przetranszować. Dziwiłem mu się dlatego, że cały czas był on bardzo aktywny i bojowy. Niektórzy trochę się załamywali, a Huget rozładowywał atmosferę dodając im otuchy. Nauczył się też, a potem mnie, otwierać kawałkiem drutu wszystkie zamki w celach. Efekt był taki, że wychodząc na spacer i idąc na końcu grupy, otwieraliśmy wszystkie cele na oddziale, wypuszczając wszystkich internowa-

nych na korytarz, co zszokowało klawisza. Poza tym, aby uzyskać możliwość poufnego przekazywania sobie informacji i ulotek, wybijaliśmy w ścianach za przyciskami dzwonek otwory prowadzące do sąsiednich celi. Wiesław Kukła wybił duży otwór pod łóżkiem, który umożliwiał mu przejście do sąsiedniej celi. Maskował go spuszczone z łóżka kocami. W czasie wieczornego apelu klawiszom nie zgadzał się potem stan internowanych w celach.

Nazajutrz po tych zajściach „Wolna Europa” nadała dokładną informację o nich. Informacje na zewnątrz przekazywaliśmy różnymi kanałami. Ważną rolę odgrywali księża, którzy w czasie spowiedzi i wizyt przyjmowali i wynosili grypsy oraz nagrywali nasze wypowiedzi.

Wienczysław Nowacki, który podobno potrafił przejść między kratami i wędrował po wszystkich oddziałach pawilonu roznosząc wiadomości poinformował mnie, że na górnych oddziałach rozpowszechniono plotkę, że jestem prowokatorem SB. Dowiedziałem się również, że podobno Roman Pyrczak przekazał na zewnątrz informację, że ucierpieliśmy z tego powodu, że Tataru nie chciał wystawić na korytarz ubrania.

Po jakimś czasie do naszej celi doszedł Józef Jarzmik i prosił mnie bym się zgodził przejść do ich celi. Nie byłem zachwycony tym pomysłem, ale wskutek stanowiska kolegów z przykrością się zgodziłem. Przeniesiono mnie do celi, gdzie już siedzieli Wiesław Mazurkiewicz, Józef Jarzmik i Władysław Murzewski. Panowały tam zupełnie inne obyczaje. Podłoga była wypastowana na wysoki połysk, internowani mieli dyżury do sprzątania. Wszystko lśniło. Od razu przy wejściu Murzewski zdecydowanie poinformował mnie o zasadach współżycia między nimi i zaproponował, abym gołą ręką wymył muszlę klozetową. Zdecydowanie odmówiłem wymycia jej, a na sprzątanie się zgodziłem.

Pewnego dnia przyszedł tam oficer kierujący „pacyfikacją”, aby mnie przeprosić. Chciał, abym mu wybaczył i podał rękę. Spytałem czy należy do partii. Wybaczył mi i podałem rękę dopiero wtedy, gdy zaprzeczył.

Po pewnym czasie wezwał mnie umundurowany prokurator prowadzący sprawę przeciwko czterem internowanym z naszego piętra, aresztowanym za śpiewanie antyreżimowych piosenek⁸. Urządzali oni co wieczór „koncerty” w celi sąsiadującej z moją. Podczas jednego z takich występów klawisz chodził i ostrzegał wszystkich, że SB będzie nagrywać na magnetofon. Prokurator pytał mnie czy słyszałem co śpiewano, pokazując mi maszynopisy z tekstami wszystkich naszych piosenek. Powiedziałem, że nic nie słyszałem, po czym on spytał to znaczy nie podpisze pan protokołu?” Odpowiedziałem „oczywiście”.

Znów zostałem wezwany na przesłuchanie. Prowadzony przez klawisza do pokoju przesłuchań, byłem przekonany, że to wezwanie bezpieczne. Siedzący w pokoju na wstępie oświadczył mi, że do prokuratury wpłynęło doniesienie od jednego z funkcjonariuszy więziennych, który oskarżył mnie o pobicie 19 stycznia. Byłem zaskoczony, że to nie esbek, ale prokurator. Według zeznań owego klawisza

⁸ 9 III 1982 aresztowanych zostało czterech osadzonych w Załężu internowanych: Bogdan Klich, Krzysztof Krzysztofiak, Jerzy Piekarski i Zbigniew Solak.

podczas wyprowadzania mnie z celi miałem go bić, kopać i ugryźć w rękę. Zaprzeczyłem i opowiedziałem własną wersję wydarzeń. Zapytał czy użyto gazu paralizującego i czy straciłem przytomność. Odpowiedziałem, że nie wiem czy straciłem przytomność, a gaz był najprawdopodobniej łzawiący. Spytałem czy klawisz ma zaświadczenie lekarskie, tego prokurator nie był pewien. Na koniec oświadczył mi, że był zdecydowany dać mi nakaz tymczasowego aresztowania, ale po moich zeznaniach postanowił się wstrzymać i zastanowić.

W tym czasie zauważyłem, że Jerzy Kuczera po powrocie z kilkudniowej przepustki bardzo się zmienił. Wydawał się mi załamany. Zagadnąłem go co się stało. Powiedział mi w zaufaniu, że nikomu nie mówił o starciu z Janem Małkiem, który podawał się za członka „Solidarności” taksówkarzy z Bielska-Białej. Ponieważ Małka podejrzewano o kontakty z SB, skontaktowano się z „Solidarnością” z Bielska. Stamtąd przekazano Kuczercze informację, że Małek nie jest taksówkarzem, lecz porucznikiem milicji. Będąc sam na sam z Małkiem w celi Kuczera, były bokser „Hutnika”, wygarnął mu to prosto w oczy i chciał go uderzyć pięścią w twarz, ale zreflektował się, że może go niechcąc nawet zabić, uderzył więc w pierś. Małek wywrócił się i po tym incydencie natychmiast zwolniono go z internowania. Na Kuczere i jego rodzinę wywierano silne naciski, straszono ich, co spowodowało, że Kuczera całkowicie przestał być aktywny.

W kwietniu 1982 Załęże wizytowała delegacja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Jej członkowie wysłuchali skarg i zażaleń wszystkich internowanych. Sytuacja nasza uległa znacznej poprawie. Zaczęli nas lepiej karmić. Wydłużono spacery, otwarto cele, a na muszle założono sedesy. Mogliśmy się już swobodnie komunikować z osadzonymi na innych piętrach. Odbywały się nawet odczyty i wykłady prowadzone przez samych internowanych. Dochodziło do dyskusji, polemik, a nawet sporów na różne tematy, przede wszystkim między KPN-em a innymi środowiskami. Były różne propozycje co do sposobów i metod walki oraz kształtu niepodległej Polski. Niezmiennie wyrażałem pogląd, że jedynym legalnym ustawodawstwem jest to z okresu II Rzeczypospolitej, przede wszystkim Konstytucja kwietniowa i ordynacje do Sejmu i Senatu z 1935 roku. Moje poglądy albo wywoływały sprzeciw, albo były przyjmowane bez zrozumienia i obojętnie. W czasie długich rozmów m.in. z Gąsiorowskim przedstawiłem zarys programu reprivatyzacji i prywatyzacji państwowego majątku narodowego. Powtarzam to wielokrotnie, aż do dzisiaj.

Środowisko KPN było jednolite, zawsze wyrażało jeden pogląd, pozostali wiecznie dyskutowali nie mogąc podjąć żadnych działań. Tadeusz Piekarz, którego przywieziono do Załęża wiosną, był zde gustowany atmosferą i chciał zmobilizować internowanych na naszym oddziale do protestacyjnej akcji głodowej. Popierałem jego propozycję, żeby przystępujący do głodówki zobowiązali się kontynuować ją co najmniej przez tydzień. Niewielu jednak chciało się na to zgodzić. W tym czasie zabrano na proces Moczulskiego do Warszawy m.in.: Krzysztofa Gąsiorowskiego, Stanisława Palczewskiego, Michała Żurka, Zygmunta Łenyka i Radosława Hugeta. Przed wyjazdem Gąsiorowski mianował mnie szefem gru-

py KPN-owców pozostających w Załężu. Aby nie dopuścić do rozprzężenia dyscypliny wśród nas zaproponowałem zebranym następującą zasadę – będziemy przeprowadzać rozmowy, każdy będzie mógł wyrazić swój pogląd, ale decyzję będę podejmował jednoosobowo. Jeżeli się na to nie zgadzają, to muszą sobie wybrać innego szefa. Zgodzili się wszyscy.

Do Załęża przyjechał też Mirosław Milewski z Biura Politycznego KC PZPR na spotkanie z internowanymi studentami. Wszyscy z wielką ochotą wybierali się na to spotkanie, chcąc go mocno zaatakować. Chciałem ich odwieść od tego mówiąc, że to nic nie da, spłynie wszystko po nim jak woda po gęsi, że będzie powtarzał wyswiechtane banały i aby nie szli na to spotkanie, bo nadarzyła się okazja, aby go zlekceważyć. Po spotkaniu Miodowicz, który był zwolennikiem rozmów z Milewskim, wrócił rozczarowany i przyznał, że miałem rację, że trzeba jednak było nie iść.

Pojawiały się też incydenty dotyczące różnych drobnych spraw, np. starcie w świetlicy między Murzewskim a Szewczukiem, który był judoką. Pokłócili się jaki program telewizyjny oglądać. Dni zaczęły teraz upływać szybciej. Zwalniano coraz więcej ludzi. Pewnego dnia ogłoszono przez radiowęzeł, aby chętni na wyjazd za granicę zgłosili się do zrobienia zdjęć paszportowych. Niestety część ludzi to kupiła i sporo osadzonych zgodziło się przyjąć paszporty. Byłem temu zdecydowanie przeciwny, uważając wyjazd na Zachód w takim momencie za dezercję. Mimo odczuwalnej poprawy w naszym położeniu, nie wszystko przebiegało bez zakłóceń. Pewnego razu rozmawialiśmy w celi z Mazurkiewiczem o tym, że powinniśmy zorganizować ucieczkę. Mazurkiewiczowi dostarczono brzeszczoty do cięcia metalu. Musiało to dotrzeć do władz więziennych, bo niedługo po tym podniesiono gotowość służb więziennych, zwiększono obsadę i zjawiała się w Załężu jakaś grupa inspekcyjna. Zrobiono też rano „kipisz”. Mieliśmy w celi cały plik podziemnych wydawnictw. Murzewski chciał je podrzeć i wyrzucić do muszli klozetowej. Nie pozwoliłem na to, wyrwałem gazetki z ręki i po otwarciu okna wepchnąłem je w szparę między tynkiem a murem, maskując wystającą wełną mineralną. Obawiałem się, że ktoś z okien naprzeciwko to zauważy. Podczas rewizji nic jednak nie znaleziono, chociaż klawisz wychylił się przez okno i patrzył w to miejsce. W innej celi, chyba Mieczysławowi Majdzikowi, zabrali radio. Podczas przeprowadzania nas do łaźni pytaliśmy konwojującego nas romowca co się dzieje, dlaczego taki alarm? On psiocząc na to, że został zmobilizowany do wojska, a trafił do więzienia, powiedział, że władze dowiedziały się o planowanej przez nas ucieczce. Przekazał dokładne wiadomości ile osób liczy ochrona więzienia. Wszystko to działo się na schodach przed zamkniętą kratą, którą otworzyłem paskiem od spodni, akurat wtedy gdy przechodziła obok komisja, a jej członkowie to zobaczyli.

W pewnym okresie internowano w Załężu grupę kryminalistów, waluciarzy, Cyganów. Dochodziło z tego powodu do konfliktów. Pędzili oni bimber, którym się upijali, doszło także do bójki między nimi z użyciem noży. Jeden z nich zaatakował w świetlicy internowanego z Rzeszowa. Zrobił to, ponieważ uważał go

za wtyczkę SB. Incydent zażegnał Czesław Szewczuk. Prawdopodobnie było to celowe działanie władz w celu wywołania niepokojów wśród internowanych.

W czerwcu uczestniczyliśmy w kolejnym zbiorowym proteście głodowym⁹. Niektórzy z kolegów trafili do szpitala w Rzeszowie, skąd uciekł Michał Żurek¹⁰. Dla mnie efekt był taki, że w wyniku tych wszystkich głodówek „zrzuciłem” ponad 20 kilogramów. 7 lipca zwolniono z Załęża dwunastoosobową grupę internowanych, w której byłem również ja oraz Wiesław Kukła. Nie zgodził się on jednak opuścić internatu. Jako powód podawał klawiszom, że nie ma gdzie wrócić i nie ma kartek na wódkę. Mnie oświadczył, że nie może wyjść, bo ma w celi schowany cały warsztat – narzędzia, farby, tusze, stemple itp. Kukła był grafikiem i robił okolicznościowe koperty, grafiki itp. Chciał przed wyjściem przekazać wszystko na zewnątrz, aby mu tego nie skonfiskowano. Prosił mnie, bym po wyjściu za mury dał znać czy nas rewidowali. Nie wiem jak długo pozostał jeszcze w Załężu.

Na dworzec kolejowy w Rzeszowie szliśmy objuczeni różnymi tobołami, pakunkami, zarośnięci, z przypiętymi znaczkami „Solidarności”. Ludzie po drodze patrzyli na nas jak na zjawy. Przy dworcu rozdzieliliśmy się. Czterech studentów poszło po drodze do baru, gdzie przy piwie śpiewali antyreżimowe piosenki i wznosili okrzyki, tak, że zwinęła ich milicja, i do Krakowa dotarli z jednodniowym opóźnieniem.

Po przyjeździe do Krakowa razem z Wieśkiem Mazurkiewiczem poszliśmy do Kurii zgłosić swoje zwolnienie w Arcybiskupim Komitecie Pomocy¹¹. Postanowiłem nie meldować się w komendzie na Mogińskiej, choć nakazano nam to przy opuszczaniu Załęża. Z tego powodu trzykrotnie przychodził do mnie dzielnicowy z upomnieniem. Dopiero gdy zostawił formalne wezwanie, zgłosiłem się na komendę, gdzie na pytanie esbeka dlaczego się nie meldowałem odpowiedziałem, że nie miałem czasu.

Zaraz po wyjściu z Załęża wziąłem zaległy urlop, a po nim zgłosiłem się do pracy. Wbrew ustawie o stanie wojennym nie wróciłem na dawne stanowisko w warsztacie mechanicznym, lecz skierowali mnie do działu zaopatrzenia. Nie wyraziłem na to zgody, odwoływałem się do Komisji Rozjemczej, a następnie do Sądu Pracy. Nie pracowałem tam długo i zostałem przeniesiony na bazę sprzętu jako dyspozytor. Po kilku dniach doktor Rafał Niżankowski wystawił mi dłuższe zwolnienie lekarskie.

⁹ Z raportu z-cy dyrektora Centralnego Zarządu Zakładów Karnych J. Petrykowskiego, Informacje dotyczące protestów głodowych internowanych z 15 VII 1982: „Od pierwszych dni czerwca br. [1982] odnotowano wśród internowanych wzrastające napięcie i niepokoje w związku z upływem 6 miesięcy stanu wojennego. W tym kontekście należy rozważyć podjęte w dniu 13 czerwca zbiorowe i długotrwałe głodówki w Kielcach, Łupkowie, Rzeszowie i Uhercach, które najdłużej trwały w Rzeszowie (do dnia 7 lipca br.). (Centralny Zarząd Zakładów Karnych. Archiwum 98/8).

¹⁰ Michał Żurek uciekł w nocy z 11 na 12 IV 1982, zob. szerzej relacja Michała Żurka, [w:] *Stan wojenny w Małopolsce...*, s. 141-144.

¹¹ Arcybiskupi Komitet Pomocy Więźniom i Internowanym w 1983 przekształcony został w Arcybiskupi Komitet Pomocy.

Szybko włączyłem się w działalność konspiracyjną. Odnowiłem kontakty głównie z ludźmi KPN. Byłem wtedy blisko z Michałem Żurkiem, braćmi Mohłami, Krzysztofem Gąsiorowskim, Witoldem Tukałło. Małżeństwo Tukałłów zostało w stanie wojennym aresztowane i odpowiadali przed sądem za próbę organizowania spisku zbrojnego w szeregach żołnierzy 6. Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej, mającego za zadanie zbrojne obalenie ustroju. Groziła im nawet kara śmierci. Sąd jednak ich uniewinnił, uznając zarzut za absurdalny. Do opinii sądu przyczyniło się to, że żona Witka Tukałły pomyliła stopień wojskowy oficera występującego w tym procesie, co wywołało śmiech na sali.

Nie przerwałem jeszcze kontaktów z ludźmi u siebie w zakładzie pracy. Od razu po zwolnieniu byłem dwukrotnie na demonstracjach w Nowej Hucie, biorąc udział w starciach ulicznych z milicją, w czasie których obrzucano kamieniami samochody z powybijanymi szybami, do których w biegu wskakiwali milicjanci, uciekając w popłochu i ostrzeliwując się z kałachów granatami łzawiącymi. Rzuciłem w jeden z samochodów połowę cegły, ale nie trafiłem, gdyż cegła odbiła się od gałęzi drzewa, za którym stałem. Na jednej z demonstracji byłem z Wiesławem Mazurkiewiczem, który przyszedł z reklamówką z kamieniami. Na moje pytanie po co mu one powiedział „zobaczysz co się będzie działo”. W chwili, gdy nastąpił atak zomowców przy użyciu polewaczek, Wiesiek z dużą siłą uderzył jedną z milicyjnych nysek. Kamienie rzucało również wielu manifestantów. Tłum został rozpedzony między blokami przez pędzące milicyjne wozy.

12 października 1982 wieczorem, gdy byłem w domu z mamą, do drzwi zapukali tajniacy, pytając o mnie. Poprosiłem mamę, aby powiedziała, że mnie nie ma i zabroniłem otwierać drzwi. Zaczęli się dobijać i grozić, że wyważą drzwi jeśli natychmiast nie otworzy. Mama odmówiła i zaczęła się odgrażać, żeby nawet nie próbowali, bo wtedy poniosą koszty, a poza tym, żeby uważali na sąsiadów, którzy nas obronią. Na klatce schodowej zaczęli gromadzić się zaciekawieni sąsiedzi. Postanowiłem uciekać przez okno. Mieszkanie znajdowało się na 3 piętrze. Wychyliłem się i uchwyciłem piorunochron. Schodząc obawiałem się czy wytrzyma mój ciężar. Na szczęście wytrzymał. Zsunąłem się po nim szybko, zdzierając jedynie rękawice. Pobiegnę do mieszkającego kilka ulic dalej Janka Szelesta, aby powiadomił kolegów, że zaczynam się ukrywać.

To moje zejście do podziemia było spowodowane wspomnianą próbą zatrzymania przez milicję. Dzień wcześniej objąłem szefostwo tworzącej się ściśle zakonspirowanej organizacji, pozostającej poza oficjalnymi strukturami KPN, której zadaniem było prowadzenie działalności niepodległościowej na terenie Krakowa. Założki tej organizacji przejąłem od kierującego nią wcześniej Michała Żurka. Doszło do tego podczas spotkania 11 października 1982 z udziałem Krzysztofa Gąsiorowskiego, Żurka i mnie. Gąsiorowski, niechętny temu pomysłowi, pod naszym naciskiem zgodził się na tworzenie tej struktury i mianował mnie jej szefem. Kojarząc pewne fakty byłem przekonany, że najście SB na moje mieszkanie jest związane ze spotkaniem z Żurkiem, ukrywającym się po ucieczce z Załęża, i Gąsiorowskim, 11 listopada. Po tym spotkaniu wyszedłem razem z Gąsiorowskim, a Żurek po-

został tam jeszcze podobno około trzech kwadransów. Po czym wyszedł i udał się na przystanek MPK, gdzie został otoczony przez czekających na niego tajniaków i zatrzymany. Został przewieziony do Załęża, gdzie wręczono mu decyzję o zwolnieniu, wydano depozyt i odwieziono do Krakowa, gdzie go zwolniono powiadamiając jednocześnie, że ma sprawę karną za ucieczkę. Po powrocie do domu przeprowadził dochodzenie, kto jest agentem: ja czy Gąsiorowski. Żurek przysłał do mnie Jurka Mohla, który miał sprawdzić moje postępowanie od czasu aresztowania. W wyniku tego dochodzenia, Żurek oskarżył o współpracę z SB Gąsiorowskiego. W 1989 roku po „okrągłym stole” spotkałem się z Leszkiem Moczulskim i zażądałem sprawdzenia wyników dochodzenia Żurka. Moczulski całkowicie zbagatelizował sprawę, co wprowadziło mnie w osłupienie, gdyż Gąsiorowski pełnił obowiązki szefa KPN w czasie gdy Moczulski był więziony.

W związku z tworzeniem nowej organizacji zawiesiłem swoją działalność w KPN, likwidując wszelkie kontakty, a nawet zaprzestając płacenia składek. Używałem wtedy pseudonimów „Ludwik” i „Klemens”. Tworzona przez nas struktura miała się składać z niezależnych od siebie 5-7 osobowych grup, a ich działalność miała być dostosowana do warunków stanu wojennego. Zakładaliśmy, że struktura ta rozwinie się na obszar całego kraju.

10 listopada 1982 zorganizowałem strajk w Fadomie. Na ten dzień podziemna TKK po delegalizacji Związku wezwała do strajku powszechnego wszystkich członków „Solidarności”¹². Znałem ludzi i nastroje w Fabryce Domów w Bieżanowie, uważałem, że powinienem być z nimi, byłem pewien, że beze mnie strajk się nie odbędzie. Poparcie dla „Solidarności” było tam ciągle duże. Na znajdującym się na terenie zakładu kilkudziesięciometrowym kominie kotłowni ktoś zawsze w czasie ogłaszanych przez podziemie akcji protestacyjnych wywieszał flagę narodową. Powstawał wtedy problem, kto ma ją ściągnąć, bo nigdy nie było chętnych. Ludzie tłumaczyli się, że nie są uprawnieni do pracy na wysokości. Pewnego razu inż. Ziółkowski, szef kotłowni, zażartował sobie, każąc wyjść na komin dość puszystej suwnicowej, która miałaby trudności ze zmieszczeniem się w poręczu zabezpieczającej, nie mówiąc już o możliwości wejścia na samą górę.

W zakładzie pojawiłem się już o 6 rano. Dojechałem do niego zakładowym autobusem, odjeżdżającym z Kleparza. Koledzy z pracy byli zaskoczeni moim widokiem. Na teren zakładu wszedłem jakby nigdy nic, głównym wejściem. Na portierni nikt nie próbował mnie zatrzymać. Byłem w kilku miejscach, informując ludzi o zarządzonym przez podziemną „Solidarność” strajku; pytałem, czy zamierzają w nim wziąć udział i zachęcając do przyjscia na warsztat mechaniczny, gdzie planowałem przemówić do załogi. Inni koledzy m.in. Jan Szelest robili to samo. Praktycznie od rana na pierwszej zmianie nikt nie podjął pracy. Ludzie

¹² Sejm PRL zdelegalizował NSZZ „S” i NSZZ RI „S” 8 X 1982. W odpowiedzi TKK NSZZ „S” 9 X 1982 wydała oświadczenie, w którym ogłosiła 10 XI 1982 – drugą rocznicę rejestracji NSZZ „Solidarności” – dniem protestu: „10 listopada ogłaszamy czterogodzinny strajk protestacyjny począwszy od godz. 10.00. Strajk musi być przygotowany bez ujawniania przywódców [...] Przebieg protestu wyznaczy dalszą strategię związku” („Tygodnik Mazowsze” 1982, nr 29, 13 X).

zbierali się w grupy i dyskutowali. Początkowo nie widziałem u nich zbyt dużego entuzjazmu, część nie była zdecydowana strajkować. Około godziny 7 rano prawie cała zmiana zgromadziła się na warsztacie mechanicznym. Byli zarówno robotnicy, jak i część pracowników administracyjnych i dozoru. Tam przemówiłem do nich. Starałem się trochę rozładować atmosferę, m. in. opowiadając żartobliwie o internowaniu, o różnych protestach i starciach w Załężu. Podgrzałem tym nastrój, a w końcu poinstruowałem, co mają zrobić jeśli zechcą strajkować. Widząc, że są zdecydowani, doradziłem im, aby w przypadku wkroczenia milicji lub ZOMO wszyscy zgromadzili się w budynku betonowni, gdyż było tam dużo miejsca, a równocześnie trudno się tam było dostać. Ponadto istniała możliwość odcięcia palnikami prowadzących na górę metalowych schodów, przez co byliby zupełnie niedostępni. Uczciwie powiedziałem, że istnieje możliwość siłowej pacyfikacji strajku, ale według mnie jest to mało prawdopodobne, gdyż zakład należy do stosunkowo niewielkich. Byłem wówczas przekonany, że ciężar tego protestu przejmą duże zakłady pracy. Mówiłem jeszcze, że gdyby próbowali z nimi negocjować, to najlepiej zrobią jeśli będą milczeli i nie podejmą żadnej dyskusji. Bowiem każdy, kto podejmie rozmowy może potem zostać uznany za prowodyra. Na koniec stwierdziłem, że skoro się ukrywam, to jest mi obojętne, że mogę zostać obarczony winą organizacji tego strajku. W tym czasie zdenerwowany kierownik zakładu próbował interweniować, nawołując ludzi do rozejścia się i podjęcia pracy. Zwróciłem się do niego ze słowami „Pan tu w tej chwili nie decyduje, gdyż jest strajk”. Widząc panujący nastrój szybko się wycofał. Wiec zakończył się około 9.00, zakład w tym czasie nie pracował, ludzie udali się zgodnie z moją radą na betonownię. Byłem pewny, że protest się powiedzie. Koledzy oraz przewodniczący oddziałowej „Solidarności” Andrzej Grabowski nalegali, abym opuścił już zakład, bo wszyscy wiedzą, że tu jestem i ktoś może zawiadomić milicję. Uspokajałem ich, że władza ma poważniejsze problemy w innych, większych zakładach i tak szybko nikt tu nie dotrze, ale w końcu posłuchałem i dyskretnie, boczną bramą kolejową, opuściłem Fadom. Postanowiłem zorientować się jak wygląda sytuacja w innych jednostkach przedsiębiorstwa. Z Bieżanowa doszedłem na Prokocim, gdzie mieszkał mój znajomy. On podwiózł mnie samochodem na naszą bazę sprzętu w Płaszowie. Na bramie portier nie chciał mnie wpuścić. Dowiedziałem się od niego, że wcześniej byli tutaj z SB i czekali na mnie. Okazał się być porządnym człowiekiem, bo powiedział mi, że ci z безпеки kazali mu natychmiast ich zawiadomić, gdybym się pojawił. Był trochę przestraszony, ale jednak udało mi się go namówić, aby mnie wpuścić. Obszedłem różne miejsca, byłem na warsztacie, gdzie rozmawiałem z przewodniczącym oddziałowej komisji „S” w bazie sprzętu Paluchem. Tam robotnicy pracowali. Gdy poinformowałem ich, że Bieżanów stoi, widziałem, że było im trochę głupio z tego powodu. Nawet nie próbowałem ich nakłaniać do strajku. Nie miałem też do nich pretensji, wiedząc, że bali się utracić pracę oraz że w obawie przed uwięzieniem nie miał kto wziąć na siebie odpowiedzialności za zorganizowanie strajku. Nie byłem u nich długo. Pojechałem jeszcze do Prokocimia, gdzie nasze przedsiębiorstwo również

prowadziło budowę. Dotarłem gdy już kończyła się pierwsza zmiana. Tam także praca przebiegała normalnie.

O przebiegu strajku po moim wyjściu z oddziału w Biezanowie dowiedziałem się później z relacji kolegów. Wypadki potoczyły się mniej więcej tak, jak to przewidziałem. Nie użyto jedynie siły. Przyjechała bezpieka i jacyś komisarze, którzy wraz z dyрекcją starali się nakłonić ludzi do podjęcia pracy. Początkowo próbowali polubownie załatwić sprawę obiecując pracownikom, że jak przerwą strajk to nie będą wyciągnięte żadne konsekwencje. Ponieważ nikt nie podjął z nimi rozmowy, zaczęło się straszenie. Szczególny nacisk wywierano na zatrudnione u nas kobiety licząc, iż najłatwiej będzie je złamać. Pułkownik, który przyjechał namawiać załogę do zakończenia strajku pytał kolejno kobiety czy są mężatkami i czy mają dzieci. One, uprzedzone przez mnie, wszystkie odpowiadały, że nie. To wywoływało wybuchy śmiechu strajkujących i doprowadziło do irytacji wyższego oficera, który w końcu powiedział „to same panny u was pracują”. Nastąpił wybuch śmiechu i nie osiągnęli niczego. Załoga zachowywała się zgodnie z moimi zaleceniami, gdyż okazało się, że argumentacja komisarza była taka, jaką przewidziałem. Gdy komisarz się zirytował po raz kolejny, jeden z grających w karcie rzucił kartę na stół z okrzykiem „dupkiem go”. Spowodowało to salwę śmiechu i opuszczenie betonowni przez komisarza. Do 14.00, czyli do końca zmiany, strajkujący nie podjęli pracy. W konsekwencji następnego dnia przeszło sto osób, w tym ja, otrzymało wymówienia¹³.

Zerwałem całkowicie kontakty z zakładową „Solidarnością”, a także formalnie z KPN, skupiając się na pracy w utworzonej ściśle zakonspirowanej niepodległościowej strukturze. Ukrywając się, wielokrotnie zmieniałem miejsca pobytu. Początkowo ukrywałem się w nowo wybudowanym, ale niedokończonym domu Władysława Pyrczaka w Wieliczce. Tam przez pewien czas ulokowana była drukarnia kierowanej przeze mnie grupy. Powielaniem naszych materiałów zajmowali się m.in. Grzegorz Hajdarowicz, bracia Mohlowie. Później przenosiłem się w różne miejsca, m. in. korzystając z mieszkań kolegów Janusza Makowskiego w Biezanowie i Wojciecha Soczawy w Płaszowie. Okresowo mieszkalem w podkrakowskich miejscowościach, m.in. u Władysława Pierzchały w Pękowicach i Sierczy. Po amnestii w 1986 dłużej zamieszkałem u krewnych w Sierczy, koło Wieliczki. Z matką spotykałem się sporadycznie, na przykład w kościołach. W kontaktach z nią pośredniczył najczęściej Jasiu Szelest. Bezpieka wielokrotnie nachodziła moje mieszkanie, ale mama nigdy ich nie wpuszczała. Byłem tak zmieniony, zeszczuplałem, że nie poznała mnie siostra, siostrzeniec i mój najbliższy

¹³ Informacja dzienna z 10 XI 1982 dotycząca sytuacji w obiektach ochraniających przez Wydział V: „Na terenie Fabryki Domów „Fadom” 105 robotników utrzymania ruchu nie podjęło pracy. „Fadom” zatrudnia 348 osób, w tym 64 umysłowych. Do fabryki udali się przedstawiciele dyrekcji oraz organizacji partyjnej chcąc przekonać do podjęcia pracy przypominając o grożących konsekwencjach. Ze względu na stanowczy opór tych pracowników dyrektor podjął decyzję o zwolnieniu dyscyplinarnym w/w. Do 105 robotników doszło 3 pracowników umysłowych tj. kierownik warsztatu oraz 2 mistrzów jako solidaryzujących się z załogą” (IPN Kr 055/23 t. 1).

współpracownik z zakładu pracy, a także dobrze mi znany Andrzej Izdebski. W każdym przypadku rozpoznano mnie dopiero, gdy się przedstawiłem.

U Władysława Pyrczaka spotykałem się z księdzem Chojnackim i Józefem Mroczką. Rozmawialiśmy tam o rozwoju sytuacji w Polsce. Mroczek przekazywał mi pismo „Niepodległość” i prosił o nawiązanie kontaktu z KPN i przekazanie opinii partii na temat programu działania. Potem dwukrotnie spotkałem się z ks. Chojnackim na plebanii w Bieżanowie. Opowiadał o różnych oszczerczych akcjach SB skierowanych przeciwko niemu, pokazał mi także tajne dokumenty SB odebrane podobno pijanemu, śpiącemu na ławce esbekowi. Dotyczyły one ściśle tajnej akcji SB pod kryptonimem „Kruk”, skierowanej przeciwko najaktywniejszym księżom w Polsce, m.in. ks. Popiełuszce, Jancarzowi, Palmowskiemu, Zaleskiemu, Chojnackiemu, Jankowskiemu i chyba ks. kard. Gulbinowiczowi i ks. bp Tokarczukowi. Dokument określał jakie metody propagandy i represji, z likwidacją fizyczną włącznie, należy stosować wobec nich. Ks. Chojnacki przekazał mi także wiadomość o tym, że zgłosił się do niego oficer SB, Sulka¹⁴, informując, że otrzymał rozkaz zamordowania go. Ksiądz powiedział mi, że uważa to za prowokację SB, która liczyła według niego na rozpowszechnienie tej informacji, chcąc to wykorzystać do oskarżenia go o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości. Potem okazało się, że była to jednak prawda.

Z Żurkiem po raz pierwszy spotkałem się u Wiesława Mazurkiewicza, natomiast z Mohłami i Tukałą spotykaliśmy się w różnych miejscach, m. in. w okolicach kopca Piłsudskiego, na działkach w Bieńczycach. Przemieszczałem się często nocami. Posiadałem lewy dowód osobisty, ale nigdy nie miałem okazji się nim posłużyć. Utrzymywałem się głównie dzięki pomocy z Kurii. Początkowo dostawałem też kartki. Po odbiór tej pomocy przychodziłem do Wiesławy Styki, pracowniczki Politechniki Krakowskiej. W jej mieszkaniu spotkałem dwie plastyczki, podobno dysydentki z Leningradu, którym załatwiłem nocleg w mieszkaniu kolegi, które wynajmował dwóm pracownikom Fadomu – Marii Skowrońskiej, która była plastyczką amatorką, zaangażowaną w działalność opozycyjną i miała kontakty z Anną Walentynowicz. Nazwiska drugiej nie pamiętam. Tam też spotkałem dwukrotnie Annę Walentynowicz. Już wtedy przekonywała mnie o agenturalnej działalności Wachowskiego i Wałęsy. Potraktowałem to wtedy z żartobliwym niedowierzaniem, co spowodowało dużą irytację u pani Anny. Opowiadała, że wraz z dwoma ludźmi, którzy byli przesłuchiwanymi przez kapitana SB Wachowskiego odwiedziła Wałęsę, aby go ostrzec, że jego kierowca jest esbekiem. Na moje pytanie co na to Wałęsa, Anna Walentynowicz powiedziała, że uśmiechnął się mówiąc: „my musimy ze wszystkimi współpracować”. Opowiadała też o roli Wałęsy w sierpniu 1980, który wcale nie przeskakiwał przez stoczniowy płot, gdyż stocznia była pod kontrolą strajkujących i Wałęsa mógł przejść legalnie przez bramę. Gdyby nie ona i Alina Pieńkowska, to strajk zakończony przedwcześnie przez Wałęsę nie zakończyłyby się podpisaniem porozumień z 21 postulatami.

¹⁴ Zob.: K. Sulka, *Dostałem rozkaz zabicia księdza...*, Kraków 1989.

Do Wiesławy Styki zgłaszałem się raz w tygodniu, najczęściej w niedzielę, w jej mieszkaniu na Prądniku. Odbierałem tam paczki, kartki na mięso oraz pieniądze, które pomagały mi się utrzymać. Był to zarazem mój punkt kontaktowy. Mojej mamie dużo pomagała Teresa Passakas z „Solidarności” PAN. Pomagało mi także wiele osób, których nazwisk niestety nie znałem. Nie skorzystałem z żadnej amnestii, nawet tej bezwarunkowej z 1986 roku¹⁵. Od tego czasu nie ukrywałem się już z tak dużą czujnością i ostrożnością, lecz nadal nie mieszkalem w domu, ale zdarzało mi się tam wpadać, aby spotkać się z mamą. Od 1986 roku odmówiłem przyjmowania pomocy z Kurii uznając, że nie powinienem już z niej korzystać. Mieszkalem wówczas głównie u ciotki na wsi, ale nadal utrzymywałem kontakty z działaczami niepodległościowymi. W szeregi KPN powróciłem ponownie po 1989 roku.

¹⁵ 11 IX 1986 minister spraw wewnętrznych ogłosił, że więzienia opuszczą wszystkie osoby skazane i aresztowane za „przestępstwa i wykroczenia przeciwko państwu i porządkowi publicznemu”. 21 IX 1986 TKK NSZZ „Solidarność” wydała oświadczenie: „uwolnienie więźniów politycznych oznacza spełnienie jednego z głównych postulatów stawianych przez Związek od grudnia 1981 r. Samo uwolnienie więźniów nie usuwa jednak przyczyn napięć społecznych i upadku kraju. [...] Do spełnienia zadań, jakie stoją przed społeczeństwem konieczne jest przywrócenie pluralizmu związkowego, przebudowa systemu gospodarczego oraz stworzenie sytuacji politycznej umożliwiającej niezależne działania społeczne” („Tygodnik Mazowsze” 1986, nr 181 (24 IX)).